



MAŁGORZATA PŁOSZEWSKA

## ZGARBIONA GODNOŚĆ

Powolutku, ostrożnie przesuwa nogę za nogą podpierając się dwoma laskami – jedną ortopedyczną i drugą – klasyczną, z ciemnego drewna. Zatrzymuje się i opiera łokieć na uchwycie kuli. W drżącej ręce trzyma jednocześnie kolorowy kartonik po czekoladkach *Bounty*, w którym drży teraz kilka drobnych monet. „Dziękuję bardzo, dziękuję pani serdecznie”, mówi ciepłym głosem do dziewczyny, która wrzuca do kartonika pięć złotych, uśmiecha się do staruszki, głaszcze jej dłoń opartą na drewnianej lasce i spieszy dalej do pociągu. Staruszka stoi jeszcze chwilę pod kolorowym kioskiem i mamrocze do siebie z promiennym uśmiechem: „Bóg zapłać, Bóg zapłać...”. Po chwili, zgięta w pół nieuleczalną chorobą, rusza w stronę hali dworca kolejowego. W jednej ręce drży kartonik po czekoladkach *Bounty* i kula, w drugiej – plastikowa torba i drewniana laska. To nic szczególnego, ot, po prostu żebraczka. Widziałam ich tysiące na dworcach Europy, ale ta ma w sobie coś, co przyciąga mój wzrok.

Powolutku, ostrożnie, przesuwając nogę za nogą, rozjaśnia swoją promienną twarzą to deprymujące, szare miejsce.

*Pociąg osobowy do Jarocina  
odjeżdża z toru drugiego przy peronie czwartym.  
Życzymy przyjemniej podróży.*

Do odjazdu mojego pociągu zostały mi jeszcze dwie godziny. Dworzec Główny we Wrocławiu sprawiał smutne wrażenie, mimo kolorowych reklam i egzotycznych napisów. Półmrok panujący w hali, ta ponura pustka po odjeździe każdego pociągu i takie zwykłe „nic”,

które zaczęło mnie obezwładniać, przegnało mnie do małej restauracji na kawę. Tu wewnątrz wyglądało zupełnie inaczej: małe stoliki nakryte białymi obrusami, żywe kwiaty w wazonikach, smaczne zapachy dochodzące z kuchni za ladą i sympatycznie uśmiechnięci młodzi kelnerzy. Zagłębiłam się w lekturze miejscowej gazety owiana zapachem świeżo parzonej kawy.

*„Za chwilę odjazd? Jeszcze zdążysz do KFC! Wstąp na świeże kurczaki w panierce, jakich nie znajdziesz w żadnej innej restauracji. To będzie uczta dla twojego podniebienia!”*, usłyszałam nagle zza powoli otwieranych drzwi.

Twarz młodego kelnera rozjaśniła się. On sam natychmiast poderwał się i podbiegł do wejścia. „Proszę bardzo, niech pani wejdzie, cieszę się, że znów nas Pani odwiedza”, powiedział szarnancko do żebraczki o kulach, która w tym czasie przeciskała się przez wąskie drzwi. Po chwili staruszka siedziała już przy stoliku, blisko kuchni, a kelner wieszał jej płaszcz na wieszaku. „Czy Pani pozwoli, że zaproponuję nasze danie dnia? Oczywiście dla stałych klientów przewidujemy 50% rabatu. Pani pozwoli?”, powiedział młodzieniec i usłużnie rozłożył śnieżnobiałą serwetę na kolanach staruszki.

Przestałam czytać. Schowana za gazetą obserwowałam żebraczkę i garstkę ludzi na sali. Przy sąsiednim stoliku siedziała sześćdziesięcioletnia kobieta z mocnym makijażem. Od momentu kiedy młody kelner skoczył do drzwi i prowadził żebraczkę do stolika, zamarła w bezruchu z kęsem krowiaka w ustach. Patrzyła na tę dziwną parę z szeroko otwartymi oczami i nawet nie drgnęła.

Tymczasem staruszka mieszała łyżeczką cukier w herbatce, potem odłożyła ją starannie na talerzyk i dwoma, nadal drżącymi rękami, podniosła szklankę do bezzębnych ust. Wbrew moim oczekiwaniom nie siorbała...

Kobieta przy sąsiednim stoliku łączywie pochłonęła resztę kotleta i nie spuszczała wzroku ze staruszki. „Proszę bardzo, czerwony barszcz z uszkami i pieczeń rzymska. Z polecenia szefa kuchni”, powiedział kelner do staruszki i ustawił dania na stole. Ona spojrzała w stronę kuchni, kiwnęła głową w podziękowaniu i z namaszczeniem celebrowała obiad. Szef kuchni uklonił się jej w pas, podszedł do radia i nałożył głośniejszą muzykę. Małą salę restauracyjną załapały dźwięki walca...

Słyszałam go jeszcze w pociągu do Katowic...

